

## **„Zagraj najlepszą piosenkę i odjedź”. Fragment nowej książki Michała Gołębiowskiego.**

Proza Michała Gołębiowskiego nie chce tylko opowiadać fabuły i skupiać się na akcji. Woli opisywać czy może raczej pokazywać spokojne „dzianie się” w najprzeróżniejszych jego przejawach. Opowiadania (i tytułowa minipowieść) ze zbioru „Zagraj najlepszą piosenkę i odjedź” przynoszą to, co najlepsze w dotychczasowych książkach pisarza – pisze Jarosław Jakubowski o nowej książce Michała Gołębiowskiego, której fragment publikujemy.

Jest w nim dziura. Tak mówili ludzie, którzy go widzieli. W zasadzie już przy pierwszym spotkaniu narzucało się to samo, i niemal od razu każdy to zauważył. Jest tutaj dziura. Czy tak miało być? Trzymać coś takiego przy kościele to bluźnienie Bogu, mówili.

Jezus stojący przy wejściu do kościoła Przemienienia Pańskiego, otoczony bielą konwalii, zazwyczaj przed godziną szóstą oblewany porannym słońcem, oblepiony gdzieś pajączkami; był jednak zbyt cennym zabytkiem, przez pokolenia i lata wchłonał w siebie wiele opowieści, modlitw i codziennych problemów, był świadkiem radości i łez, zbyt wielu, żeby się go teraz pozbyć, ot tak, podmieniwszy go na inny egzemplarz. Wypadało raczej zreperować figurkę, przede wszystkim umiejętnie wypełniając dziurę powstałą na skutek burzy, która, jakby na przekór obietnicom uczonych w Piśmie i proroków, z impetem rzuciła Chrystusem o ostre kamienie.

Wszystkiemu winne były, jak zwykle, szalone wichry, tak często nawiedzające te strony, niby prowadzone, jak głosi Słowo, ręką Boga, a przecież niepomne na świętości, tańczące w ekstazie, szarpiące krzyżami, trzaskające okiennicami kościoła, zrywające kapliczki. Nieokiełznane, kapryśne, wściekłe. Nic nie poradzisz. Na Orawie tak zawsze. Im bliżej granicy ze Słowacją, tym gorzej. Jak Boga kocham.

W końcu jakoś sobie z tym poradzono. Ludzie zrobili tyle, ile było można. Zapełniono dziurę, choć, prawdę mówiąc, nie do końca umiejętnie, bo miejscowi nie mieli wprawnej ręki, a na pewno nie byli mistrzami subtelności. Tak na oko było w porządku, „dobre jest”, „bedzie, bedzie”, pozostało tylko widoczne z bliska wgłębienie, które przypominało ranę. Proboszcz, człowiek dość już leciwy, a przez to utrzymujący pełen niedowierzania i sarkazmu dystans wobec spraw doczesnych, stwierdził, że nikt się nie zorientuje. Wszyscy pomyślą, że tak miało być. Przecież Jezus to ten ubiczowany, ukrzyżowany, zraniony. „No to mamy”.

Nawet jeśli figura przedstawia Jego przemienienie na Taborze? Pewnie, nawet wtedy. Czemu nie? Nic przecież nie szkodzi, to naprawdę nic nie szkodzi. Jest może nawet lepiej, niż mogłoby być. Z tą dziurą będzie bardziej teologicznie. Figura połączy różne tajemnice: cierpienie i chwała, nowe ciało i dawne przejścia. Ponowne przyjście, ostateczne przyjście. Przecież po zmartwychwstaniu Jezus zostawił sobie rany. Nie tak było?

No było. Wszystko się zgadza. Nie trzeba niczego zmieniać. Stawiamy figurę, tam, gdzie jej miejsce, zarządził proboszcz. Tam, gdzie zawsze stała. Taką, jaka jest. Wśród bieli konwalii, z pajęczynami. Z tą kiepsko wypełnioną dziurą, mimo wszystko wciąż widoczną. Mimo wszystko wciąż gorsząca.

\*\*\*

Jest to niewielki dom, zbudowany z drewna, ale, zgodnie z góralskim zwyczajem, podmurowany od spodu. Parter, pokój, kuchnia, sień i poddasze, do którego prowadzą skrzypiące schody – i to by było na tyle. Drzwi wejściowe ozdobiono ludowymi malowidłami maków, róż i fiołków. W środku jest dość jasno, drewno bladożółte, prawie białe. Może dlatego ma się wrażenie, że przestrzeń jest tu większa niż w rzeczywistości.

Dom stoi samotnie w polu, w pewnej odległości od ludzkich gospodarstw, zresztą też dość daleko od najbliższej asfaltowej drogi. Tym sposobem złożył Andrzejowi obietnicę. Powiedział, że można schronić się w nim przed światem, zwłaszcza teraz, gdy ta potrzeba stała się dla Andrzeja czymś naprawdę palącym. Podobno w tropikalnych lasach żyją mrówki nazywane paraponerami, których ukąszenie zadaje największy ból, jaki tylko można sobie wyobrazić, porównywany przez Indian do ugryzienia diabła, a przez białych – do postrzału kulą z pistoletu. Andrzej z pewnością przesadzał, twierdząc że paraponera, która wyszła prosto z piekła, uwalila go w samo serce. Ale nie mówił tego, rzecz jasna, zupełnie bez powodu.

Odległość od ludzkich gospodarstw. Właśnie tego chce, tego się domaga, całym sobą, piekącymi miejscami w duszy, które dają o sobie znać dopiero teraz. Nie tylko dlatego, że znajduje w sobie pustelnicze zapędy, choć oczywiście znajduje; stąd motor, który należy tylko do niego i nikt inny nie powinien na niego wsiadać. Dzięki niemu może oddalić się od świata, prawie jak św. Antoni Egipski, do którego spłynęły kiedyś słowa z nieba: „jeśli chcesz zachować duszę, uchodź od ludzi”; i tak się stało, „uszedł”, wprawdzie nie na motocyklu, nie w skórzanej kurtce, ani dżinsowej koszuli, ale w jakimś śródziemnomorskim łachu. Andrzej nie tyle chce, co raczej woła o to oddzielenie w pustelni. Woła w środku, bezdźwięcznie, raczej ciałem niż słowami, a przez to nad wyraz głośno. Czuje się zmęczony, zupełnie wyczerpany ludźmi i w ogóle całym światem, zbyt długo tolerowanym poczuciem braku, który – nie potrafi już tego przed sobą ukryć – snuje się cieniem za wszystkim, co istnieje.

Teraz jest pewien, musi się wycofać, cały przegrzany, w ogniu i niepokoju, przewiany suchym podmuchem, który niczego jeszcze nigdy nie ożywił, a zawsze pozostawiał po sobie spalone kości. Musi wrócić do gniazda uwitego gdzieś w środku. Do przystani w sobie samym. Ten dom na osobności składa taką właśnie obietnicę. Schowany przed wszystkimi jak mnich – emanuje dobrą nowiną. Ulga taka, jakby nie pochodziła z ziemi; jakby spadła z nieba.

Andrzej pozostanie tu przez jakiś czas. Starczy mu pieniędzy, później zastanowi się, co dalej.

Cisza oczyści mu głowę. Wiatr, deszcz i słońce tego miejsca sprawią, że spojrzy na rzeczywistość trochę inaczej. Któregoś dnia obudzi się wcześniej, spojrzy na pomarańczową plamę słońca i dojdzie do wniosku, że utracić wszystko jest, być może, lepiej niż wszystko zyskiwać.

A więc to prawda. Nadzieja kryje się w mroku, nie w świetle. Stoi daleko od miasta, światła, ulic, parkingów i hal targowych. Daleko od ludzi i powszednich spraw. Może nie każda nadzieja, ale na pewno jego nadzieja, obolała i wypalona, dość zresztą przewrotna, bo nie obiecująca niczego prócz odpoczynku w pustce.

Przy ścieżce wiodącej do domu nie ma żadnej latarni. Przez to nocą nie widać tutaj dosłownie niczego. Najbliższe światła stoją przy drodze, pięć minut na piechotę stąd. O tej porze dom jest więc niewidoczny, ukryty w głębi ciemnej otchłani, daleko, daleko, w pulsującym łonie nocy.

Andrzej zatrzymuje motocykl nieopodal płotu i rosnącego przy nim starego dębu, w dawnej oborze, teraz przeznaczonej na składowanie drewna. Ucisza maszynę i wyciąga z kufra zapas suszu, skręty i siatkę ze skromnymi zakupami, które zdążył zrobić po drodze, przy jednej ze stacji benzynowych. Kiedy gaśnie reflektor, pozostaje tylko czerń. Jest też cisza, głucha i głęboka, bez szumu miasta, który jeszcze przed chwilą wypełniał jego głowę przeciągłym ambientem. Czasem przerywa ją tylko, rozlegające się gdzieś z oddali, poszczekiwanie psa, który raptem się wybudził.

Ale skupiona w sobie cisza nie trwa zbyt długo. Jeszcze jeden błysk. Nagle wzmagają się ciepły, suchy wiatr, który wypełnia ciemną otchłań szelestem liści, tak jakby przez ciemność przelewały się morskie fale. Chwilę później spada deszcz.

(...)

Następnego dnia Bóg zabiera Maryję do nieba, zaś Andrzej wsiada na motocykl i wyjeżdża z Chochołowa.

Przystaje gdzieś na obrzeżach Nowego Targu. Poznaje to miejsce, choć dawno go tu nie było. Jest to droga, którą rzadko przejeżdżają samochody, za to niemal co noc przebiegają nią lisy i sarny. A teraz – błysk po deszczu, żadne zagęszczenie życia, żaden rój, tylko spokój i bycie późnego popołudnia. Czyste powietrze, dzieci grające w piłkę.

Dawno nie było tu podobnego widoku. Albo zdarza się coraz częściej, tylko jego zbyt długo tutaj nie było. Niebo przechyła się właśnie nad przedmieściami, dzwoni druciana siatka; pierwsze cieplejsze zachody. Asfalt jeszcze nie zdążył wyschnąć, piłka podskakuje i pryska wodą po nogach. Jest ich troje: dwóch chłopców, a dziewczynkę postawili na bramce, pewnie dlatego, że dziewczyny nie potrafią bronić, a może po prostu stać miał ten, komu najmniej chciało się grać.

Dziewczynka, zamysłona, rozgląda się na boki, tam, gdzie rośnie trawa, przepuszcza wszystkie strzały. Rozlega się szczekanie psa i rytmiczny szczepek aluminium, raz za razem. W pewnym momencie piłka odbija się

od siatki, odlatuje w dół pustej ulicy, a następnie toczy się wzdłuż krawężnika. Wybiega za nią jeden z chłopców, najmniejszy z trojga, dogania ją, ale nie wraca na boisko; kopie ją przed siebie, w kierunku zmierzającego słońca, słysząc albo nie słysząc wołania, i powoli znika w oddali, za drzewem.

Nie mają jeszcze pojęcia, ale któregoś dnia pewnie się dowiedzą, co stało się kiedyś, gdzieś daleko, kto wie – może na granicy światów? Coś, dzięki czemu wydarza się dzisiaj. Coś, co podtrzymuje spokojne życie późnego popołudnia.

Coś, co stworzyło ten dzień.

*Michał Gołębiowski*

*fot. Pixabay*

### **Polecamy książki**

**Michał Gołębiowski** – pisarz, literaturoznawca, tłumacz, eseista, doktor nauk humanistycznych. Autor m.in. nagrodzonego Nagrodą Specjalną *Identitas* zbioru esejów *Bezkres poranka*, książki *Słodka ziemia* czy powieści *Dalej tylko pola*. Interesuje się duchowością i ponowoczesnością, a także hezychazmem i spuścizną Ojców Pustyni. Publikuje m.in. na łamach „Arcanów”, „Więzi”, „Teologii Politycznej”. Związany z rodzinnym Podhalem, mieszka w Warszawie.